

## Ziemia

Wojciech Nowicki

Była to jazda równiną, z mojego dawnego miasta położonego na nizinie. Jedno z najwyższych wzniesień stanowiła w nim górką podobna do tych, które w owym czasie, latach gwałtownego wzrostu demograficznego, usypywano na licznych polskich osiedlach. Początkowo była to kupa ziemi pozostała po wykopaniu fundamentów pod bloki, bezużyteczna gleba usypana chwilowo w pagórek. Z czasem tymczasowość miała przybrać trwałe kształty, już niepodlegające erozji. Pagórek został obsiany trawą i stał się główną atrakcją blokowiska, obok sklepu samoobsługowego i kościoła. Ziemia ta była niczyja, po nic, już zbędna, w tamtym moim mieście i w całym kraju jej nadmiarowość przez lata kłuła w oczy: kawałek niezaplanowanego szczęścia w betonowym krajobrazie, drobne wywyższenie zwiastujące możliwość wspinania się, a także, ku radości miejscowych stomatologów, zbiegania, zjeżdżania na rowerze czy na sankach.

Po raz pierwszy w życiu wspiąłem się na nią po wielu latach od usypania. Wcześniej nie: to nie było moje osiedle, no i kiedy powstało to wyrzucenie, mnie nie interesowały już tego typu zabawy. Wspiąłem się więc dopiero wiele lat później, pchając wózek z dzieckiem. Kończyło się lato, słońce było tamtego dnia ostre, ale o tej porze już dość chłodne. Trawa i ludzie rzucali długie cienie, pamiętam, bo zrobiłem zdjęcie. Bloki, zauważyłem w tym świetle, już dawno zdążyły obleźć z tynku, farba zszarzała, zatarły się numery domów wymalowane ciemną farbą, choć i tak ciepłe światło otulało to wszystko łaskawie, wydobywając co prawda szczegóły, lecz jednocześnie odziewając tę nędzę w bogate przebranie barwy miodu. Solidnie zaprojektowany i wybudowany ogromnym nakładem środków budynek kościoła świecił ciemno. Wtedy jeszcze wydawał się zbyt duży, jak nowe lotnisko w szczerym polu, które dekadę po powstaniu okazuje się budowlą skarłatą i zapóźnioną. Wszystko oprócz niego zmierzało, mogło się wtedy wydawać, ku rozpadowi, tylko ta górką, przypadkowa fałda, zbyt niska, by ją oznaczać na mapach, utrwaliła się w pejzażu, umocniona darnią, już się wydawała naturalna: kolejny pomnik ery człowieka.

Wszystko tam było w pewnym sensie nie moje, obce i chwilowe. Z tego miejsca, miasta pęczniejącego daleko poza pierwotnymi granicami, dziś przekraczającego swoją powierzchnią największe europejskie stolice, wyjeżdżałem, kiedy się tylko dało. Uciekałem stamtąd, ciekaw innych ulic, nieodmiennie przekonany, że są ciekawsze i być może lepsze, i nie całkiem jeszcze świadom, że to nie o cel wędrówki chodzi, nie o te ulice ani o parki czy muzea. Sens tych wypraw był w tym, co pomiędzy, w samym wędrowaniu, w drodze na dworzec, w samej podróży pociągami osobowymi.

Może to sprawa korzeni. Moje są wyrwane.

Jeździło się wtedy niedaleko, do Wrocławia, albo w drugą stronę, do Gliwic albo Katowic, żeby się napawać mniej zrozumiałym, pylistą wielkością. Niewiele z tego wszystkiego zapamiętałem, głównie z Gliwic, szczególnie to, co było wówczas wspólne dla wielu miast, dworzec kolejowy z przyklepionym do niego placem autobusowym, tak samo nieświeży jak inne, jakby ulica Zwycięstwa, pokazowa ulica miasta, jej salon handlowy, miejsce przechadzek i pożądaný adres, prowadziła wprost do dworcowego holu, gdzie mimo oddalenia dawało się wyraźnie wyczuć smród kibli. Powtarzalność tego zapachu sprawiała jednak, że był wtedy oczywisty i trudno się było nim przejmować; uderzało raczej co innego, pewna dostojność budynku, jego podniosły charakter, olbrzymie rozmiary, no i wielka mozaika w holu naprzeciw wejścia, lśniący różnymi odcieniami niebieskości. W tamtych jednak latach, kiedy dekoracje, dodane wbrew ładowi architektonicznemu narzucanemu przez budynek i jego autorów, przeciwnie, raczej jako gorejący stempel nowoczesności, lśniący znak tego, co terazniejsze, nie wzbudzały zachwyty. Ich uroda miała się objawić dopiero wtedy, gdy same obrosły patyną, stały się przestarzałe i na dobre przepadł kontekst czasów, w jakich powstały. Na całe szczęście: nie były bowiem niewinne. Miały stanowić równowagę dla czegoś, co pozostawało ukryte albo przynajmniej niedopowiedziane. Zaprzeczały oczywistości: że to miasto, podobnie jak pozostałe w okolicy, nie były nasze. Budowały ich nową tożsamość, zakrywając starą.

Gliwice, Gleiwitz: sterany perony, dworzec z mozaiką, dziwnie uroczysty, podniosły, kible i dworcowa restauracja, plac z charczącymi autobusami, a dalej wystrzeliwała ulica z tramwajem, Dworcowa, na dalszym odcinku nosząca nazwę ulicy Zwycięstwa. Przecinał ją w dole jar targowy, niewielka rzeka, przypominająca ściek Kłodnica, teren zielony przechodzący w park, ze wskazówkami, jak dojść do latami nieczynnej palmiarni. Była przy ulicy Zwycięstwa witryna kawiarni z kolorowymi galaretkami w salaterkach, mistrzowski pokaz sztuki cukierniczej ery niedostatku, cud przemienienia wody, cukru, żelatyny i barwnika w lśniącą jarzeniowo pokusę. Był wreszcie Rynek i płatanina uliczek, dalsze osiedla i wylotówki: tu, w tej okolicy, wszystko było przelotowe, żeby ułatwić łączenie się licznych miast. Nawet tramwaj, rzecz gdzie indziej nie do pomyślenia, miał trasy obejmujące całą konurbację. Niewiele z tego zostało, pewnie na całe szczęście, ale trzeba napisać: nie dla rzewnej nuty, taniego wzruszenia należy o tym wspominać. Raczej dlatego, że to jedna z warstw miasta czy raczej kraju; na razie, zdaje się, przedostatnia. (I dlatego jeszcze, że coraz częściej przychodzi tłumaczyć tamten kraj nam samym).

Przez pewien czas tamtejsze miasta były zaledwie przystankiem na trasie, tyle co postój pociągu na stacji w drodze do albo z Krakowa. Targała mną chęć wyskoczenia z wagonu, ponownego zanurzenia się w jako tako znanej tkance miasta, żeby pójść śladem dawnego, spelźłego już przyzwyczajenia. Patrząc przez szybę wagonu, miałem ochotę znów przemierzać zdradliwe chodniki i odnowić mapę miejsc, w których można odpocząć, napić się kawy, obserwować ludzi zza zasłony gazety. A jednak nie wysiadałem: z rozwagą, jak wówczas sądziłem, podążałem właściwą drogą, z jednego punktu do drugiego, dławiąc próby buntu i nie dopuszczając do ucieczki. Chciałem wrócić, pójść trasą prostą jak pień, dworzec, ulica Zwycięstwa, Rynek, żeby się potem zagubić w pokrętnej gęstwinie uliczek o nazwach wziętych od zawodów i ważnych punktów na mapie przeszłości: Tkacka, Wysoka, Mleczna, Średnia, Basztowa, choć wtedy nie miały nazw, jeszcze ich nie znałem, były jak znajome lasy, po których się chodzi bez mapy, dla czystej przyjemności błędzenia. Chciałem wrócić, ale nie umiałem.

Siedemdziesiąt kilometrów, dziś godzina koleją, czasem mniej. Przyjeżdżam jednak z innej strony niż kiedyś, kolej więc dziś odpada. Na drodze na te ziemie ogromniejsze bowiem zaporą zapadlisk, i choć odległości pozostają te same, to tory są coraz bardziej zdradliwe i podróż się wydłuża. Droga, która kiedyś prowadziła przez świat rdzy i rozpadu charakterystyczny dla kolejowych szlaków, dziś jest niewiele mówiącą trasą podobną do innych w dowolnym miejscu świata, eksterytorialną autostradą, serią zapór dźwiękochłonnych, pól, widocznych z daleka zabudowań.

Któregoś dnia, kiedy zacząłem na nowo jeździć do Gliwic, teraz już od drugiej strony, od wschodu, odkryłem, że nigdy nie zwiedziłem tego miasta, a może inaczej: nigdy go dokładnie nie poznałem. To nawet w jakimś sensie zabawne, myślę sobie teraz, ciągle gdzieś jeżdżę, a jestem niedbałym turystą. Bo kiedy pada nazwa tego miasta, słowa klucze same składają się w trasę, tworząc przewodnik jak wytrych do realnej i widmowej przestrzeni. Radiostacja gliwicka i związana z nią historia, palmiarnia, Bauhaus gliwicki, elegancki i śmiesznie dziś mały dom tekstylny Weichmanna, Rynek i zamek, bożnice, stara i nowa, kościół Chrystusa Króla, dawny budynek hotelu, dzisiejszy Urząd Miasta, Politechnika, o której miałem się jeszcze nasłuchać do znudzenia. To wszystko, pod postacią miejsc, budynków albo wspomnienia, gdzieś tam było, a ja niemal nigdzie nie dotarłem. Nie czułem takiej potrzeby. Znałem Rynek, nieodmienny pusty, z jego arkadami i sgraffitami, wszystko w stylu niewiernych naśladowców przeszłości, tym samym, który miał mnie prześladować wszędzie, gdzie się ruszałem: mój kraj chełpił się swoimi nowo zbudowanymi zabytkami. Dawny dom tekstylny i urząd miejski mijają się, idąc z dworca, podobnie jak tabliczki zachęcające do wizyty w palmiarni; zamek mignął mi któregoś dnia na końcu jakiejś ulicy. Tyle. A jednak przez te wszystkie lata utrzymywałem zdrowy dystans, nie dowierając, że zaznaczone przez kogoś odgórnie punkty, te szpilki o kolorowych łebkach wbite w plan miasta, mogą stanowić o jego istocie.

Tak już mam. Odwiedzam ogrody botaniczne, muzea przyrody, przypatruję się skamielinom, wypreparowanym mięśniom, szerokim łukiem omijam inne miejsca, często ważniejsze. Mam predylekcję

do zwierząt wypchanych dawno temu, do gablot z nadgryzionymi przez szkodniki okazami, do przeszklonych szuflad z tysiącami motyli nabitych na miniaturowe szpileczki. Podobnie pociągają mnie miejsca wyleniałe, popadłe w ruinę, w których skądinąd nie chciałbym mieszkać. Szukam nawarstwień. Gliwice, Śląsk, widać to jasno, są palimpsestem, mówią wieloma językami naraz, wieloma porządkami architektonicznymi, epokami, niejedną kulturą. To mnie pociągało.

Chodzi też o nawroty, wskakiwanie w znaną już koleinę, kolejne wędrówki własnym śladem. Spojrzenie pozostaje to samo, ale wyraża się już inaczej, gwałtowności zaokrąglają się z czasem, jakby je obrobiła woda. Oglądam palimpsesty ulic, zrosnięte budynki, krzykliwe sąsiedztwo stylów: brutalna prostota źle wykończonego betonu, obok nieco łagodniejszy tynk kryjący powojenną cegłę, zrosnięty w jedno z maszkaronami, atlasami albo szmaragdem kafli lśniącego na fasadzie: niegdyś, odkrywam, ten widok zlepku wydawał mi się wbrew naturze, nie mogłem się pogodzić z takim brakiem wyczucia i czułości; dziś szukam w nim historii do opowiedzenia. Dawniej wstydliwie pomijałem późniejsze nawarstwienia, wyniki z potrzeby upchnięcia ludzi, wypełnienia nieciągłości w zabudowie. Teraz spoglądam na te zrosty, zrosłaki innym okiem, notuję kolejne nawarstwienia, atak plastikowych reklam ostatniej dekady ubiegłego wieku, globalizacyjne zapędy pierwszych dekad nowego, które jednak na Śląsku, przybierają swoiste kształty, bo wpasować się muszą, zazwyczaj nieszczęśliwie, w kontekst, który jest dla ich autorów niezrozumiały.

Odtwarzając mozolnie swoje trasy z ponad trzech dekad, a więc kolejne jazdy do Szopienic, Mysłowic, do Bytomia, do Rudy Śląskiej i do Piekar, odkryłem po latach ze zdziwieniem, jak wiele się tego zebrało, aż trudno spaźnięć, zresztą po co. Oglądałem zza szyby tramwaju granice miast, wydawać się mogło nieodwołalny koniec miejskiego organizmu, tramwaj jednak czemuś kontynuował swoją trasę. Wjeżdżał między pola i łąki, w pofalowanej przestrzeni pokrytej pyłem i sadzą, nieczystej, aż łapałem łapczywie powietrze w płuca, licząc, że to już koniec miejskiej jazdy. Spoglądałem na błyskające stawy i zalewy, pamiątki po nieudanych przedsięwzięciach człowieka i ponownie wykorzystanych na jego potrzeby, zupełnie jak ten pagórek na osiedlu bloków w moim pierwszym mieście, aż znów zaczynały się zagęszczać skromne zabudowania z czerwonej cegły, o zielonych albo czerwonych okiennicach, i trzepaki obwieszane pierzynami. Wsiadałem przy ostatnich zabudowaniach, szedłem gruntową drogą, która kilkaset metrów dalej zamieniała się w szlak w przetartej trawie. Prowadziła do budy, w której jedynym towarem było piwo. Nie trzeba było nawet prosić, wystarczyło przejść przez drzwi, kufel wędrował pod nalewak. Byłem nieodmiennie jedynym niepasującym elementem: tamci, wydawało się, przyśrubowani do swoich miejsc, patrzyli na mnie w milczeniu, paląc. Znali się co do jednego, sąsiedzi, kumple z pracy i od kieliszka, górnicy spędzający wolny dzień nad zalewem, żeby ukoić nerwy łowieniem ryb i pić piwa w tej budzie między polami, kończący dzień powrotem do domu na rowerach. Podnosiłem kufel, towarzyszyło temu skinienie głową: zainteresowanie opadało, uznawali, że umiem się zachować.

Właściwe zachowanie jest tu wysoko cenione.

Sam już nie wiem, ile wyjazdów zebrało się przez lata, a w rękach same strzępy. Pewnie trzeba odnaleźć osiedlowy pagórek, trzeba w sobie wznieść odór kibla i niebieszczenie się dworcowej mozaiki, zachwyty wielkością i rozkładem, kiedy spacerowaliśmy ulicą Zwycięstwa, próbę zrozumienia architektonicznej czystości z zupełnie innego świata, spoza tego, co poza Śląskiem w Polsce niespotykane, reliktyw Bauhausu, wreszcie czegoś, co do nazwania najtrudniejsze, powietrza, odmienności, w którą wpadam jak w lepki macki.

Po latach w mieszkaniu starego fotografa, za oparciem fotela, na którym zwykle siedziałem, powiewała firanka. Okno było otwarte. Widok przez nie podobny był do widoków z setek okien na tamtym osiedlu z pagórkiem w moim dawnym mieście. To był ten sam kraj, ziemia właściwie ta sama, bo Śląsk, ten Górny. Niedaleko, siedemdziesiąt kilometrów, niewielkie różnice. Przetarty trawnik, wydeptane dróżki, bo z jakiejś przyczyny chodniki wytyczano jak od ekierki, szło się na skróty. Mój gospodarz, okno, osiedle i trawnik: przez to wszystko widoki zaczynają się łączyć. Gliwice i Śląsk – dochodzę do wniosku – zlepiają mi się w

całość dzięki fotografii i fotografom. Koniec końców moje życie jest gdzie indziej, patrzę na miasto jako przybysz, mijam je tylko. Pozostaje mi to: zdjęcia i ludzie, którzy je robią.

Poprzez człowieka, z którym siedziałem w jego mieszkaniu, Jerzego Lewczyńskiego, próbowałem zrozumieć ludzi, którzy się tutaj osiedlili, w miejscu, które nie wydało mi się dość atrakcyjne, nawet na tyle, żeby skorzystać z postoju na stacji albo przyjechać tak po prostu, na parę dni; rzadko było mi po drodze. Aż bez zastanowienia przyszła odpowiedź, zawstydzająco dobrze widoczna i od początku jasna: że z nim i z innymi często było tak, jak w przypadku moich bliskich, którzy, choć urodzili się daleko, osiedli na tych samych ziemiach, bo tu było jakieś miejsce, mieszkania, praca. Mieli te same widoki. Firanka w oknie, trawnik osiedlowy i bloki. Powtarzalność architektury powstałej po wojnie, osiedla z wielkiej płyty, kanciaste samochody z gruzliczym silnikiem. Zsypy na śmieci. Bylejakość. Rozwątka przestrzeni wspólnych, pokradzione żarówki na korytarzach, zamknięcie w złoconej klatce własnego mieszkania, z powtarzalnymi meblami i kuchnią tą samą. Nic szczególnego. Ale coś przynajmniej było, zamiast niemalże niczego, pustych rąk, z którymi zostali: niemożności powrotu w jego przypadku, ze względu pogmatwaną historię.

Siedziałem w mieszkaniu Lewczyńskiego, na kanapie albo w fotelu, rozmawialiśmy, przerywając tylko w porze obiadu albo kiedy Lewczyński, niemal już wtedy dziewięćdziesięcioletni inżynier z wykształcenia, oglądał wiadomości w telewizji. Rytm dnia musiał zostać zachowany, rytuały spełnione. Okno było otwarte, powiewała firanka. Za oknem znajdowało się to osiedle i słychać było nawoływanie chłopca sprzedającego ziemniaki. Było tam tak jak wszędzie. Na tej kanapie, za tym oknem, było tak jak w moim pierwszym mieście, trawnik taki sam, takie same bloki, według tego samego projektu i z identycznych prefabrykatów, domy zrób to sam: najpierw kupa betonowych odlewów leżących w błocie, z czasem zamieniająca się w strukturę mieszkalną z drogami dojazdowymi i obsadzona zielenią, wtedy już prawdziwie gotowa do życia. Te same ściany, te same widoki, podobne problemy, łatwiej więc dojść, co ich tutaj trzymało lub ściągnęło, tych wszystkich, których życiorysy i dzieło życia badałem przez lata.

Lewczyński, człowiek opowiadający swoje życie na kanapie, odmienił polską fotografię; precyzyjnie realizował plany, usuwając metodycznie to, co niekonieczne, i pozostawiając wiele przestrzeni na abstrakcyjne myślenie; a jednak osiadł w mieście, które, wydawało się po latach, niewiele mogło dać komuś obdarzonemu potężną wyobraźnią. Dał jej dowody wielokrotnie, może najbardziej dobitnie, kiedy się poświęcił cyklowi „Archeologia fotografii”, w którym oddaje głos cudzym zdjęciom, fotograficznym śmieciom, znalezionym na ulicy negatywom na pograniczu czytelności, reprodukcjom odnalezionym w atlasach medycznych, w prasie. Pod koniec życia kopiował własne i cudze zdjęcia, zresztą nie tylko, zapiski, skrawki, na ksero: to było jego ostateczne zerwanie ze szkołą, która go uformowała, a jednocześnie gest założycielski.

Zofia Rydet, z którą był zaprzyjaźniony, miała bardziej tradycyjne podejście do fotografowania. Fotografii zaczęła się uczyć późno, na dobre stała się fotografką już w wieku dojrzałym. Z czasem praca zarobkowa, jak się zdaje, była tylko nudną koniecznością i dodatkiem do prawdziwego życia: wiedziała już wtedy, że w jej przypadku jest ono w fotografii. Latami błąkała się po rozmaitych tematach, po niepokojąco oddalonych od siebie sposobach wyrażania siebie i świata: od nieco naiwnych i jeszcze cikliwych obrazków zakorzenionych w mglistych przedstawieniach, jeszcze z ducha początków ubiegłego wieku, poprzez ekspresyjne i symboliczne fotomontaże, aż po to, co stało się pracą jej życia, wieloletnim projektem rozpoczętym już na emeryturze i nigdy nieukończonym – a raczej ukończonym w jedyny sposób, jaki do tych zdjęć pasował: przycięciem i śmiercią autorki. Nazwała go „Zapisem socjologicznym”. Kiedy zaczynała, nie wiedziała, jak to wszystko zacznie pączkować, strzępić się, uciekać na wszystkie strony. Postanowiła zapisać pewien wycinek Polski, przedstawiony zawsze w podobny sposób: jedną ścianę mieszkania, często kuchni, ze sztywno upozowanymi mieszkańcami. Są w „Zapisie” zdjęcia – nie chce mi się w to wierzyć, a przecież sam pamiętam, bo widywałem podobne siedziby człowieka – pozbawionych światła chat jak jamy, pozbawionych wszystkiego, ledwie kupa węgla w kącie, krzywy piec, łóżko jak z wiejskiego koszmaru Maupassanta. Są chaty góralskie, kipiące od

świętych obrazów i równie świętych przedstawień amerykańskich prezydentów, od ozdób, opakowań po brandy, od przerobionej na styl i dumę biedy. Są identycznie nudne mieszkania aspirującej inteligencji ze sztafażem od sztancy, meblościanka, obraz, plakaty filmowe, trochę książek i aspiracje do nowoczesności, tu wcielone w kosmatą narzutę na łóżko i plastikowy klosz lampy. (Tamten kraj, myślę sobie coraz częściej, trzeba na nowo wyjaśniać nam samym). To wszystko, i o wiele więcej, tysiące takich zdjęć, w ostrym świetle lampy błyskowej, bez cienia litości dla portretowanych, a tym samym dla niej samej. Morze obrazów, powtarzalnych motywów z miriadami wariantów; a do tego wszystko, przed czym nie mogła się powstrzymać, odnogi tego cyklu, chwilowe odmiany, odskoki, jakby nadal czegoś uparcie poszukiwała.

Najgłębiej przyszło mi się zanurzyć przy okazji pracy nad zdjęciami Wilhelma von Blandowskiego. Trudno właściwie precyzyjnie określić, kim chciał pragnął zostać; miał się najróżniejszych zajęć. Człowiek skotłowany; w jego głowie, potwierdzają to jemu współcześni, przewalały się bałwany niepokoju, on sam, uznawany pod koniec życia za piniacza i właściwie wariata, musiał przemierzyć kawał świata, przeżyć kawał czasu w Australii, żeby w ostatniej części swojego życia wrócić w końcu do Gliwic, Gleiwitz. W Australii zapisał się jako poszukiwacz złota, jeden z eksploratorów kontynentu, a koniec końców złodziej, umysł co prawda zaburzony i awanturniczy, który jednak czegoś ważnego dokonał, może właśnie dlatego, że wiecznie tarosiły go od środka siły, o których wolę nie wiedzieć. W mieście swojego urodzenia musiał się zająć fachem, który znał od niedawna: został fotografem. Jego atelier znajdowało się przy targu mlecznym, trudno tu było o przemysłowych magnatów, prędzej zachodzili drobni mieszczanie, Żydzi, ludzie z okolicznych miejscowości. Wydaje się, że jakoś sobie radził, ale nie dorobił się niczego. Był wybuchowy, pieklił się i pinił, budził powszechny strach. Wiedział, że fotograficzne eldorado jest gdzie indziej w okolicach dworca, tam, gdzie mieszkali i mieli swoje kantory przemysłowcy. W gruncie rzeczy z jego dorobku niewiele się zachowało, a jednak to, co jest, wystarcza, żeby stwierdzić (bez szczególnego zdziwienia), że nie ma sprawiedliwości dla ludzi wyjątkowych, bo przecież był wyjątkowy, choć w nieprzyjemny sposób, tak jak nie ma zrozumienia dla ludzi wielkiego talentu, a przy tym śmierdzących wariatów, obieżyświatów, pokątnych miłośników wiedzy i okazjonalnych złodziei. Scheda po Blandowskim: kilka zachowanych pejzaży, obszerna dokumentacja stada rasowego bydła, wartego pewnie więcej, niż zarobiła przez wszystkie wielki swojego istnienia cała rodzina fotografa, trochę zdjęć wykonanych w plenerze, wyjątkowa dokumentacja Śląska jeszcze niemal pustego, bukolicznego, z wyspami drewnianych konstrukcji wież kopalnianych, dużo portretów atelierowych, a wiele z nich pięknie dziwacznych. Zmarł na skręt kiszek, piękna śmierć dla wariata.

Blandowski, natura niespokojna, wrócił do miasta, bo musiał, kiedy z innych nadziei pozostał popiół. Lewczyński przyjechał do Gliwic na studia, żeby być jak najdalej od domu, bał się represji politycznych, po studiach najwyczejniej został, miał dobrą pracę i przyjaciół, rodzinę, wsiąkł w miasto. Rydet była podobnie wykorzeniona, wojna i nowa granica odcięła jej miejsce pochodzenia. Trawiły ją ambicje, w mieście znalazła środowisko, które dawało jej oparcie.

Oni, a także inni, są śladami, po których wracam. To jeden z moich śląskich "tropów". Jego centrum jest w Gliwicach.

Mniej więcej w tym samym czasie co ja, zaledwie o kilka lat później, zaczął po Śląsku krążyć również Lorenzo Castore. Podążaliśmy niekiedy równoległymi trasami, nasze drogi, jak teraz widzę ze zdjęć i wiem z opowieści, niekiedy się przecinały. Nie mieliśmy wtedy o sobie pojęcia, bo i skąd. Nie potrzebowaliśmy też, myślę, swojego towarzystwa. Każdy z nas czego innego szukał, jeśli w ogóle wiedzieliśmy, że czegoś szukamy: on przyjechał i zamieszkał w Gliwicach, to był jego pierwszy adres śląski, pierwszy ślad, odcisnięty w pamięci. Odbył tu pierwsze spotkania, trochę na pograniczu snu i jawy, nawiązał kontakty, z których część okazała się trwała i do dziś w jego życiu znacząca. Chciał fotografować, ale inaczej niż do tej pory, oderwać się od czegoś, czego nie chciał już robić nigdy więcej: niedługo przed tym wyjazdem wrócił z Kosowa, z wojny. Ścieżka reportera wojennego jest częstym, zazwyczaj błędnym wyborem dla wielu; zrozumiał, że to nie dla niego. Do Polski przyjechał w

poszukiwaniu miejsca, gdzie nic się nie dzieje, ale przy tym naładowanego historią: Gliwice to ważny punkt, choćby ze względu na niemiecką prowokację, przejście stacji nadawczej, jeden z tych dzwonek, które zapowiedziały, że druga wojna właśnie się dla Polski zaczęła. Drewniana wieża radiowa nadal stoi i o tym poświadcza. Wtedy jednak Castore skupił się na teraźniejszości, szukał warstw nakładających się na miejsce historycznie naznaczone; podobnie jak ja pozostał ślepy na szpilki wbite w mapę, wyznaczające obowiązkową trasę kulturalnego turysty. Były to więc lata krążenia, poznawania kraju i ludzi, mieszkania z nimi, oszołomienia. Wtedy też spróbował być fotografem, który pracuje na własnych warunkach. Pozostał nim do dziś.

Nowe życie fotograficzne rozpoczął od opowieści o tym, jak żyje się na ziemi pełnej wybrzuszeń, blizn i zapadlin. Tu wszystko opowiada o czymś, co stało się kiedyś: budynki należące do innego ładu niż w reszcie kraju, architektura odziedziczona i zapuszczona, nawet przyroda nie tworzy obrazów bujności i spokoju. Zdjęcia nie składają się na przezroczystą relację, to raczej somnambuliczna podróż, ukradkowe widoki dostrzeżone w malinie, przez zapocone szyby. Czarne tynki bezimiennego miasta, zimowe pola pod ciężkim niebem: czerń ziemi, zbrukana biel śniegu. Porzucone, porośnięte chaszczami tereny, mgławicowe dworce, papieros za papierosem. Kopalniane wizje jak obraz zza szyb batyskafu, na dnie oceanu. Widmowe pochody po znaku krzyża, bliskość dziewczyny. Duszno.

O tym jest pierwsza część albumu: zdjęcia z lat 1999–2001.

Castore wrócił na Śląsk w 2018 roku, choć zazwyczaj nie wraca w dobrze poznane miejsca: bo choć nadal żywił do tych terenów niezbyt zrozumiałe dla wielu przywiązanie, sądził, że ta ziemia stała się już dla niego jałowa.

To, co z czasem stało się coraz bardziej widoczne, a dziś nie jest już ukrywane, a więc degradacja, zniszczenie Śląska, a niekiedy nadchodząca lub oczywista już zbędność, zakłady pracy działające tylko dzięki dotacjom lub zdane na własne siły i dogorywające, cały ten proces, wydawało się, ostateczny, zaczął się odwracać. Została zniszczona ziemia, do głębi zryta i wykorzystana do cna, z którą koniec końców nie bardzo wiadomo, co zrobić. Hałdy, zwałowana skała płonna, bez wartości, wybrzuszenia w pejzażu, nieraz imponująco wysokie. Pozostałości po kopalniach, zapadliska, miejsca szkód górniczych, teren, który jest do wymyślenia na nowo i teraz na nowo się określa. Przekładaniec historyczny, architektoniczny i językowy, przekrzykiwanie się głosów, z których każdy próbował opowiedzieć inną historię: niegdyś słyszało się tu niemiecki, polski i jidysz, trochę angielskiego, dziś polski, śląski, niemiecki, japoński i włoski, i znów angielski, ponad tym wszystkim, bo osobny czy nie, Śląsk zrównał się z resztą świata i w razie potrzeby przechodzi na *lingua franca*, po śląskim i niemieckim kolejnym języku porozumienia. Taka jest mowa współczesnych mieszkańców, fabrykantów i ich pracowników. Dziury w ziemi, kominy, skaryfikacja krajobrazu, nierówności na powierzchni ziemi, wszystkie te zbędne wnętrzości wyrzucone na powierzchnię i urobek czekający na ekspedycję, trujący dym, konieczność nieustannego mycia okien, bo honor tutejszego człowieka, kamienne tablice przykazań nie pozwalają, by mieć brudne, twarze i ręce mężczyzn z głęboko wżartym pyłem, a także surowy obyczaj domowy, to wszystko, jak było do przewidzenia, z czasem ustąpiło z pozoru łagodniejszemu panowaniu wielkich sześcianów o blaszanych ścianach, w gruncie rzeczy przenośnych centrów produkcji wszystkiego, na co w pobliżu, w tym kraju i krajach ościennych, jest popyt: części samochodowych, silników, całych samochodów, umywalek, opakowań, usług informatycznych. Cała ta ziemia jest po kolejnej wylince, obrasta nową skórą. Zrzucana powłoka schnie i rozsypuje się w proch: pozostałości drobnych biznesów sprzed kilku lat wabią blaknącą reklamą, sklepy wielkich sieci otwierają się i zamykają. Śląsk, dziś bardziej światowy niż kiedykolwiek, nadal świadomy swojej odrębności, wtapia się w świat, obumierają małe kluby bokerskie i ciężarowe, podobnie jak zawody sportowe w dzielnicowych domach kultury, które przed laty oglądałem z uporem godnym lepszej sprawy, otumaniony duchem rywalizacji na najniższym szczeblu. Tam porażka była codziennością, a walka ze sztangą krótka. Przegrana była jasna jeszcze przed wejściem na podium, w znoszonym klubowym kostiumie, z dobrotliwym pacnięciem dłoni trenera dla dodania ducha, a potem w jego krótkim objęciu jednym ramieniem, po rozczarowująco krótkiej walce i

huku żelastwa o deski, w wątlej chmurze kurzu. Byłem otumaniony tym spektaklem w wykonaniu drobnych młodzieńców i sędziów w garniturach, co najmniej w równym stopniu co zaduchem, ludzkim wyziewem, odświeżoną elegancją i kurtuazją gapiów. Nie trafiał tam nikt przypadkowy.

Tym żyli w chwilach wolnych od pracy. Dziś żyją czym innym, jak my wszyscy: zakupami w galeriach handlowych, kolejnymi budowlami z ceglany frontem i blaszanym tyłem. Ci, którzy wybraliby boks albo podnoszenie ciężarów, dziś pakują w siłowniach, w nadziei na walki w klatce oktagonu, brutalne, a więc chętnie oglądane, hodując w sobie marzenia o karierze wojowników za wielką kasę. Ślęczą nad komputerami. Startują w konkursach, licząc na karierę modelki albo sukces w programie telewizyjnym. Pracują przy montażu i produkcji w jednej z tych podobnych do siebie hal albo jednak, nadal, wchłania ich kopalnia czy huta. Albo, jak wszędzie, kształcą się. Wyjeżdżają, a potem wracają. Próbują życia poza gęstą siecią tego, co odwiecznie tu ustalone. Nie wszystkim się udaje.

Takimi ich sfotografował Castore w 2018 roku, nowych Ziemi na starej Ziemi. Portretował ich z bliska, bez sztuczek. Jasno widać, że to jego zdjęcia, ta sama ręka; ale niemal dwadzieścia lat później więcej w tych portretach bliskości.

Ja swoim zwyczajem wydeptywałem ścieżki, nie zastanawiając się nawet szczególnie, po co. Któregoś dnia stało się jasne: by rozpocząć wydeptywanie kolejnych, wertować stopy zdjęć fotografów, iść śladem ludzi, którzy tutaj żyli. W końcu zaś, żeby się skrzyżowały nasze ścieżki, Lorenza Castorego i moje.

Dworzec albo przystanek autobusowy, między nimi stary cmentarz żydowski, który oglądałem przez zardzewiałą siatkę jako zarośnięty nieużytek z ledwie widocznymi macewami, ale to już tylko wylinka pamięci, jeszcze jeden nieprzydatny osad, bo dziś zupełnie inaczej wygląda. Dalej ulica Zwycięstwa, przecinający ją dawny jar targowy, niegdysiejsze kłębowisko bud i straganów, które powinno znaleźć się w całości w muzeum historii regionu jako przykład gospodarki zagubionej i po omacku szukającej wyjścia, w wiecznym rozkroku pomiędzy starym i nowym, rozpaczliwa mieszanina wszystkiego na jednej kupie, cytrusów i staników, ziemniaków i taniej elektroniki, dziś zamieniony w ruchliwą trasę średnicową, częściowo skrytą pod ziemią; na wysokości banku, niegdysiejszego domu tekstylnego Weichmanna, wskazówka na prawo, do palmiarni. Przechodziłem tamtędy latami, ale nigdy nie doszedłem. Wreszcie Kłodnica, rzeka, która się nie oczyści, póki są tu ludzie i przemysł, póki cały Śląsk nie zapadnie się pod ziemię i nie zmusi robotnego plemienia fabrykantów do ucieczki. Wreszcie Rynek wraz z miniaturowym miastem objętym nieistniejącymi murami. Dalej zaś miasto prawdziwe, już nie dla handlu ani na pokaz, miasto, które jest domem. Zwykłe miasto.

Do palmiarni poszedłem po raz pierwszy dopiero ostatnio. Palmiarnia, skromniejsza i bardziej pomieszana w sobie wersja kryształowych pałaców świata, królewskich i cesarskich cieplarni w stolicach Europy, przetrwała jednak i doczekała się nowego życia, znacznie dziś powiększona. Tego dnia, męczony gorączką, nie mogłem ustać na nogach, odpoczywałem w którymś z kątów, siedząc na ławce naprzeciw jednego z licznych terrariów. Nie chodziło jednak o zamknięte pomiędzy szybami zwierzęta, co prawda odpowiednio egzotyczne i przez to ciekawe, ani tym bardziej o rośliny, mniej imponujące niż gdzie indziej, ale o tutejszych ludzi, o kobiety z predylekcją do rudych albo otwarcie czerwonych włosów, jakby wszystkim rzucały wyzwanie, o mężczyzn przy niedzieli im powolnych, zdecydowanych i na szorstki sposób czułych. Urodziłem się wśród takich jak oni: w oknie ta sama firanka, na zewnątrz ten sam trawnik, w życiu podobne zasady. Ciekawe, pomyślałem, czy też mają na osiedlu pagórek.